

MEMORIAŁ

General Marii Wittek



Sz. sz AK
obn. Kielce

adres

-807 Podkowa Leśna

JAROSZEK-Gliszczyńska Halina
zd. Jaroszek
ps. "Aldona"

3596/usk
1

SPIS ZAWARTOŚCI TĘCZKI — 3596 / WSK

JAROSZEK - Głiszczynska

Helima ps. "Młodość"

I. Materiały dokumentacyjne

II/1 — relacja własna ✓

II/2 — dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora ✓

II/3 — inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):

III/1 — dot. rodziny relatora

III/2 — dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 — dot. ogólnie okresu okupacji (1939–1945) —

III/4 — dot. ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 — Inne... —

IV. Korespondencja

.....
.....
.....
.....

V. Wypisy ze źródeł (tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”)

VI. Fotografie ✓

I // Relacja własna

- Relacja własna, Podkowa Leśna 2002r., kopia, k. 10 s. 10.



Wpłynęło dnia 25.10
L. dz. 3865 / 15k 1002
D. J.

Do P. Secler

I/1/1

Podkowa Leśna, maj 2002 rok

GRAŻYNA HALINA J A R O S Z E K - od 17 lutego 1953 roku
Jaroszek-Gliszczyńska (po wyjściu za mąż) , pseudonim " Aldona ".

Adres obecny: 05-807 Podkowa Leśna

Urodziłam się 14-go lipca 1927r. w Lublinie. Moimi rodzicami byli: Wacława z Kifnerów ur. w 1908 r. i Bolesław Jaroszek ur. w 1903 r. Byłam jedynaczką. Moi rodzice byli bardzo młodzi. Matka w chwili gdy wychodziła za mąż miała niepełne (bez trzech tygodni) 18 lat, a ojciec 23 lata. Matka skończyła siedem klas gimnazjum im. Sobolewskiej w Lublinie, a ojciec był w owym czasie słuchaczem Wyższej Szkoły Budowy Maszyn im. Wawelberga i Rotwanda w Warszawie. Przyjechał do Lublina w czasie wakacji w 1925 r. na praktykę do parowozowni w Lublinie. Tu (tzn. w Lublinie, nie w parowozowni) poznał moją matkę. Zaręczyli się i w następnym 1926 roku 17 lipca pobrali się. Po zawarciu małżeństwa ojciec szukał pracy i otrzymał ją na Wołyniu w 10-ciotysięcznym, powiatowym, wielonarodowościowym Zdołbunowie. Była to ostatnia stacja przed granicą z Z.S.R.R. Spory węzeł kolejowy.

Ojciec pracował w parowozowni na różnych stanowiskach i wykonywał różne zleczone mu prace. Między innymi pracował jako rzemieślnik , pomocnik maszynisty i maszynista. Jako pomocnik maszynisty i maszynista jeździł służbowo do Z.S.R.R. do Szepetówki. Był uważnym obserwatorem i bardzo wiele o życiu na Wołyniu za Zbruczem opowiadał w domu. O ludziach, których tam spotykał, o ich bardzo trudnym życiu i głodzie, który tam panował i o strachu jakim mieszkający tam ludzie byli sparaliżowani, a o których to sprawach nic nie mówili. Ale nie musieli, bo było to doskonale widoczne.

Moja matka była młodą, ładną, wesołą osobą, a przy tym otwartą na świat i ludzi. Dużo czytała. Lubiła się bawić.

Ojciec był człowiekiem wyjątkowym. Zawsze uśmiechnięty. Cechowała go niezwykła skromność, dobroć, mądrość. Całe życie douczał się, o maszynach parowych, elektrycznych i spalinowych, wiedział chyba wszystko. A przy tym miał zawsze czas dla matki, dla mnie i na życie towarzyskie. Był tzw. duszą towarzystwa, dowcipami sypał jak z rękawa, na każdy temat i zawsze a propos. Był powszechnie lubiany. Nie pamiętam, by kiedykolwiek był zniecierpliwiony. Dużo mi

czytał. Zanim sama nauczyłam się czytać, poza literaturą ściśle dziecięcą znałam " Grażynę ", "Powrót taty ", "Lilie", Mickie - wicza, "W pustyni i puszcy " Sienkiewicza, wiersze Konopnickiej " W piwnicznej izbie", " O Jasiu co nie doczekał" i wiele innej tego typu literatury.

Poza pracą zawodową ojciec dużo pracował społecznie w K.P.W. tj. Kolejowym Przysposobieniu Wojskowym. Nie wiem, co ta organizacja miała wspólnego z wojskiem. Wiem , że zajmowała się działalnością kulturalno-oświatową. Organizowane były wycieczki po najbliższej okolicy i po Polsce, a także letnie obozy wypoczynkowe w Worochcie (Karpaty Wschodnie) i nad morzem na Helu i w Redłowie, być może i gdzie indziej, ale pamiętam tylko te trzy miejscowości. Na te obozy przyjeżdżali pracownicy P.K.P wraz z rodzinami z bardzo wielu, nieraz odległych miejscowości. Można było przyjechać na kilka dni lub dłużej. Opłaty pewnie były nie wysokie, bo przyjeżdżało bardzo wiele rodzin i to wielodzietnych i wcale nie dygnitarskich, czyli nie najlepiej uposażonych. A trzeba pamiętać, że wtedy kobiety na ogół nie pracowały zawodowo, czyli rodzina była utrzymywana tylko z zarobków mężczyzny tj.z jednej pensji.Przyjeżdżali więc na te obozy robotnicy, rzemieślnicy, dróżnicy, konduktorzy, ale także inżynierowie i urzędnicy pracujący w dyrekcjach. Tych ostatnich (inżynierów i urzędników) była zdecydowana mniejszość. Przeważali ci pierwsi, ale mimo stosunkowo niskiego statusu społecznego byli to na ogół ludzie ocytani i dobrze wychowani.Na obozach panowała demokracja. Były wspólne posiłki, wycieczki, zabawy, gry sportowe, a wieczorami ogniska z obowiązkowym programem kabaretowym układanym i wykonywanym przez obozowiczów. W zimie organizowane były wyjazdy do Zakopanego.Poza tym na miejscu w Zdołbunowie K.P.W prowadziło bibliotekę, przedszkole,kółko teatralne (amatorskie) .

Moi rodzice byli w te prace bardzo zaangażowani. Matka pracowała w bibliotece i kółku teatralnym. Z pasją wystawiała wodewile i komedie. Pamiętam nawet "Zemstę" Fredry w której grała rolę Klary. Reżyserowała, grała, śpiewała, tańczyła.Poza tym śpiewała także w chórze parafialnym i często występowała solo.

Oczywiście w karnawale urządane były bale, a moi Rodzice balowali także. W Zdołbunowie kwitło życie towarzyskie i kulturalne.Przyjeżdżał Wołyński Teatr Objazdowy ze znakomitymi aktorami, ale chyba nie najwyższego lotu repertuarem. Z tamtych czasów pamiętam nazwisko Malickiej i Osterwy. Do teatru oczywiście nie cho-

dziłam, ale dużo mówiło się w domu, więc trudno było nie zapamiętać. W 1938 r. mój ojciec został przeniesiony na własną prośbę ze Zdołbunowa do Kielc. Tu we wrześniu 1939r. zastała nas wojna. Miałam wówczas dwanaście lat. Pierwszego września ojciec z grupą kolejarzy uciekł przed Niemcami na wschód. Dotarł w pobliże Sarn na Polesiu Wołyńskim. Tu zetknął się z Armią Czerwoną i znowu uciekł. Tym razem na zachód. Do Kielc wrócił po sześciu tygodniach "rajzy", jak wówczas mówiono. Był brudny, zawszony, oberwany, wychudzony. Po raz pierwszy widziałam Go wtedy przygnębionego. Zaczęło się okupacyjne, głodne i chłodne życie. Ojciec zgłosił się do pracy na kolei. Matka zajęła się domem. Ja zaczęłam chodzić do 6-tej klasy szkoły podstawowej nr.5 na ul. Hożej. Szkoła była siedmioletnia- obowiązkowa. W szkole pracowali nauczyciele przedwojenni - mądrzy, dzielni ludzie. Nie pamiętam dokładnie kiedy to było, wiem, że w zimie 1940 roku. Jeden z nauczycieli uczył nas języka polskiego a nazywał się Bolesław Figwer (był to starszy, dystyngowany pan) w czasie przerw między lekcjami, gdy miał dyżur na korytarzu często rozmawiał z uczniami. Otóż w czasie jednej z takich przerw zaczął rozmawiać ze mną - w cztery oczy. Powiedział mi wtedy, że uważa, że powinnam dalej się uczyć, że jeśli chcę, może mi ułatwić dostanie się na komplety tajnego nauczania w zakresie szkoły średniej, że jest to oczywiście przez władze okupacyjne zabronione, że obowiązuje tajemnica, ale Rodzice muszą o tym wiedzieć. Mówił, że nauka jest płatna, ale opłaty są symboliczne, a jeśli moich Rodziców nie stać na zapłatę będę mogła uczyć się bezpłatnie. Rodzice oczywiście zgodzili się, wiem, że z p. Figwerem spotkali się, coś tam płacili, ale chyba naprawdę symbolicznie. Tak trafiłam na komplety tajnego nauczania w zakresie szkoły średniej zorganizowane przez zespół profesorów Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Bł. Kingi w Kielcach pod dyrekcją p. prof. Marii Opie-lińskiej. Uczyły mnie: p. Kondaki - języka francuskiego, p. Maria Okólska zwana przez nas "Mancią" - matematyki, p. Barbara Kułagowska "Basieńka" - języka polskiego, p. Maria Gierałtowska - łaciny, p. Maria Opielińska - biologii. Pamiętam jeszcze nazwisko pani Rychter i pani Straszowej.

W kompleciarskim środowisku czułam się jak ryba w wodzie. Lekcje odbywały się, trzy razy w tygodniu w prywatnych mieszkaniach rodziców koleżanek. Lokale były często zmieniane.

Mimo wojny, terroru, głodu i zimna, mimo, że prawdziwe życie to - czyło się w domach za zamkniętymi drzwiami był to dla mnie szczę-

śliwy czas. Robiłam to co lubiłam, uczyłam się. Dużo czytałam. Otoczona byłam interesującymi, kulturalnymi, ciepłymi, serdecznymi ludźmi.

Po kilku miesiącach nauki na kompletach - nie pamiętam kto, kiedy i w jakich okolicznościach, ale wiem, że ktoś z grona nauczycielskiego zaproponował mi wstąpienie do konspiracyjnego harcerstwa. Oczywiście z oferty skorzystałam z entuzjazmem. Była to normalna praca harcerska (tyle, że bez biwaków i obozów). Zdobywałyśmy, sprawności, prowadziłyśmy prace samowychowawcze, odbywały się zbiórki zastępów w czasie których toczyły się zażarte dyskusje na temat: jaka to będzie Polska, gdy po skończonej zwycięskiej wojnie (a nikt nie wątpił, że tak właśnie będzie) zaczniemy urządzać życie swoje własne, prywatne, społeczne, państwowe, co będzie najważniejsze, co trzeba będzie koniecznie zrobić, by nam, naszemu pokoleniu było dobrze z innymi i by innym było z nami dobrze. Nie pamiętam niestety nazwisk zastępowej ani drużynowej. Harcerstwo było żeńskie. Z nazwisk dziewcząt pamiętam: siostry Jadwigę i Krysię Olszewskie, Basię Nowakównę, Basię Pietrzakównę, Ziułę Witkowską, Wisię Kluźniakównę. Zdobywałyśmy sprawności harcerskie, między innymi sanitariuszki. Chodziłyśmy do szpitala i opiekowały się chorymi. Wiele czasu poświęcałyśmy szyciu opatrunków osobistych na rany postrzałowe oraz robieniu szarpi z lnianych prześcieradeł naszych matek. Zupełnie jak w czasie powstania styczniowego. Dziś w dobie sprzętu jednorazowego użytku brzmi to niewiarygodnie, ale tak było. Zajmowałyśmy się także ludźmi przywożonymi transportami do Kielc, wysiedlonymi z innych terenów. Pamiętam ludzi z poznańskiego i z plockiego. Nawet przyprowadziłam do domu trzyosobową rodzinę wysiedloną ze wsi spod Płocka. Byli to rolnicy. Rodzice z kilkunastoletnim synem. Mieszkali u nas dwa, może trzy miesiące. A potem podziękowali za gościnę i zawiadomili, że zdecydowali się wrócić przez zieloną granicę do siebie na wieś, bo nie potrafią żyć w mieście. Obiecali moim Rodzicom, że zawiadomią jak udało im się wrócić do domu, ale nigdy żadna wiadomość od nich nie dotarła. Nie pamiętam jak się nazywali.

Opiekowałyśmy się także małymi dziećmi. Myślę, że były to sieroty po poległych żołnierzach AK. Bardzo dobrze pamiętam polecenie zaopiekowania się chyba sześciolatnim chłopcem, który mieszkał kilka ulic dalej ze starszą panią. Była to prawdopodobnie jego babcia. Chłopczyk miał na imię Walduś, a na nazwisko Duś. Poszłam tam. Dziecko było miłe i ufne, a jego opiekunka prawdopodobnie uprze-

dzona o moim przyjeździe, bo bez oporów, gdy się przedstawiłam i powiedziałam dlaczego przyszedłam, pozwoliła mi zabrać Waldusia ze sobą. Moi Rodzice bardzo go lubili, a i on przywiązał się serdecznie zwłaszcza do mego Ojca. MATka bawiła się z nim, opowiadała bajki, a my z Ojcem na zmianę czytywaliśmy mu książeczki. Codziennie rano chodziłam po Waldusia, a późnym popołudniem odprowadzałam do domu. Tak życzyła sobie jego opiekunka. Po tygodniu czy dwóch zaczął przychodzić sam, ale zawsze odprowadzałam go. Było to lato 1944 roku. Pewnego dnia Walduś nie przyszedł, oczywiście poszłam dowiedzieć się dlaczego. Mieszkanie zastałam zamknięte, a sąsiedzi poinformowali mnie, że starsza pani zabrała swój skromny dobytek i poszła z Waldusiem na wieśdo rodziny, bo wobec zbliżającego się frontu bała się zostać w mieście. Nikt nie umiał mi powiedzieć dokąd poszli. I tak straciłam ich z oczu, czego zawsze żałowałam. Z innych prac harcerskich wymienię urządzenie uroczystych akademii z okazji świąt państwowych, takich jak rocznica Konstytucji 3-go Maja czy odzyskania Niepodległości 11-go Listopada i chyba innych rocznic, bo pamiętam, że tych akademii w ciągu roku było kilka - oczywiście odbywały się w prywatnych mieszkaniach. Program tych uroczystości był zwykle urozmaicony. Referat (krótki), deklamacje, melodeklamacje krótkie scenki dramatyczne, solowe popisy wokalne i instrumentalne, wspólny śpiew - raczej nie głośny i za dobrze zamkniętymi drzwiami i oknami. Po przepisowym okresie i dopełnieniu wszystkich warunków odbyło się przyrzeczenie (oczywiście w prywatnym mieszkaniu). Był bieg, było ognisko (żarówka w czerwonej bibułce obłożona polanami drewna), jakieś mowy i najważniejszy moment: przyrzeczenie. Wszystkie byliśmy ogromnie przejęte, wszystkie dostałyśmy krzyże harcerskie. Przyrzeczenie odbierała drużna harcmistrzyni Gębicowa lub Gembicowa Antonina komendantka Chorągwi Kieleckiej - o czym dowiedziałam się już po wojnie tzn. o tym, że była komendantką chorągwi - bo nazwisko znałam już w czasie okupacji. Nie pamiętam daty tego ważnego wydarzenia, a także nazwisk dziewcząt, które składały ze mną przyrzeczenie. Pamiętam, że potem byłam zastępową, ale nie pamiętam składu zastępu. Czasem zbiórki odbywały się u mnie w domu. Koleżanki bardzo chętnie przychodziły do mnie, bo przepadały za moim Ojcem. Basia Nowakówna (obecnie Żurawska) wspomina go do dziś z uśmiechem i wzruszeniem.

I znowu nie pamiętam kiedy to było - chyba wczesną wiosną 1944 roku, pamiętam, że było bardzo ciepło, świeciło słońce i

była przepiękna pogoda. Zostałam wtedy zaprzysiężona do AK. Zaprzysiężenie odbyło się w mieszkaniu Krysi Skorupskiej. Nie jestem pewna, ale chyba była drużynową. Była starsza ode mnie. Pseudonimu jej nie znam. Nie pamiętam kto odbierał ode mnie przysięgę, ale na pewno Krysia była przy tym obecna. A z Krysią Skorupską spotkałam się przed kilku laty w "Jodle". Nazywa się obecnie Romańska. Powspominałyśmy, pośmiałyśmy się, wymieniliśmy adresy i telefony, ale kontakt się urwał.

Od przysięgi do moich uprzednich obowiązków tj. nauki i zajęć harcerskich (b.licznych) doszedł wywiad. Boże jak to brzmi!. Okupacja i wywiad - zgroza! Ale to było prozaiczne zajęcie. Otóż w związku z przechodzącymi przez Kielce niemieckimi transportami wojskowymi miałam obowiązek w określonym czasie i miejscu liczyć samochody, czołgi, armaty i inne pojazdy znajdujące się w transporcie, uwzględniając jednocześnie ich oznakowanie. Znaki były różne. Pamiętam tygrysa - pewnie dlatego, że był ładny. To była żmudna i mało efektywna praca, ale wymagała koncentracji, no i trzeba było ją wykonywać tak, by nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Potem trzeba było napisać meldunek i zanieść do zwierzchnika. Ja nosiłam te meldunki do Krysi Skorupskiej na drugi koniec Kielc. Przed kilku laty, kiedyś w luźnej rozmowie - Olek Siwek kolega z "Jodły" powiedział mi, że te meldunki trafiały do niego. Oczywiście wtedy nie wiedziałam o tym. Nawet go nie znałam. Mieszkałam na przedmieściu Kielc, które nazywało się Herby. Przedmieście zabudowane było niskimi jednorodzinnymi domkami otoczonymi ogrodami. Mieszkali tu przeważnie pracownicy kolei, bo właśnie tu była parowozownia i stacja towarowa. Za parowozownią kilkadziesiąt metrów od końca ulicy Długiej, która "wychodziła" na łąki i pola był tzw. "trójkąt" tj. tory kolejowe tak ułożone by parowozy mogły zmieniać kierunek jazdy. Tam właśnie w pobliżu tego "trójkąta" była umieszczona niemiecka bateria przeciwlotnicza. Dostałam zadanie rozpracowania tej baterii, tzn. musiałam ustalić ile tam jest dział, ile osób obsługi, kiedy się zmieniały itd. Na wykonanie tego zadania miałam kilka dni, nie pamiętam ile. Nie było to zadanie zupełnie łatwe, ale je wykonałam. Sprzyjał mi mój niewinny wygląd. Szczupła, nie duża dziewczyna z blond warkoczami wychodząca z kończącej się tu ulicy i zbierająca kwiatki nie wzbudzała zainteresowania ani podejrzenia, a więc udało się bez żadnych problemów. I znowu liczyłam transporty i szczerze mówiąc nie było to moje ulubione zajęcie. Było żmudne, szare, nieciekawe. Nie

byłam nim zachwycona, ale liczyłam bo tak trzeba było, no i nosiłam meldunki do Krysi. W całej tej wywiadowczej pracy przygód i bohaterstwa nie było ani śladu. Gdy skończyłam szkołę powszechną i miałam czternaście lat (był to rok 1941) musiałam mieć jakieś dokumenty, wtedy matka zapisała mnie do zawodowej szkoły krawieckiej. Nie miałam wiele czasu na te zajęcia. Do szkoły chodziłam "w kratkę", ale jakoś się w niej utrzymałam, chyba tylko dzięki pobłażliwości i zrozumieniu uczących tam Polek. Nie musiałam czynnie włączać się w zarabianie na utrzymanie domu. Ojciec pracował na kolei. Praca była opłacana nędznie, ale jakieś tam pieniądze były. A moja matka choć do czasu wybuchu wojny zajmowała się zupełnie czym innym, zaczęła uprawiać grządki w przydomowym ogrodzie. Były więc jarzyny. Poza tym hodowała kury. Zwykle było ich kilka, około dziesięciu - były więc jajka, a od czasu do czasu rosół i mięso, ale mimo wysiłku mojej matki bywałam głodna. Niestety potrzeby żywieniowe nastolatki nie uwzględniały trudnych warunków okupacyjnych.

Ojciec mój był zaangażowany w pracę konspiracyjną. Był w A.K, pracował w łączności. Wiem, że pośredniczył w przenoszeniu broni i kolportażu prasy podziemnej. Ale szczegółów jego pracy ani nazwisk współpracujących z nim ludzi nie znałam. Jedynie domyślałam się. O moim harcerstwie rodzice wiedzieli, ale o A.K nie. Nigdy mnie o szczegóły nie pytali, a ja o tych sprawach również nie opowiadałam.

Matka w konspiracji nie pracowała. Dbała o dom i o to, by każdy z bardzo licznie odwiedzających nas ludzi, przeważnie mężczyzn, znajomych (?) ojca mógł u nas odpocząć no i zjeść talerz dobrej, gęstej zupy jarzynowej, czasem z mięsną wkładką.

Jakoś udawało mi się przez całą okupację uniknąć łapanek i innych represji, mimo że codziennie ocierałam się o tragiczne wydarzenia. Dopiero wczesną jesienią 1944 roku, gdy Niemcy zastosowali metodę otaczania całych dzielnic kordonem i wypędzania wszystkich mieszkańców na jakiś plac, gdzie dokonywano selekcji, zostałam zatrzymana razem z matką i wytypowano nas na przymusowe roboty. Siedziałyśmy na tym placu w gromadzie ludzi przez wiele godzin. Potem przewieziono nas samochodami do fabryki świec dymnych i tam w hali fabrycznej w warunkach więcej niż złych przebywałyśmy chyba ze dwie doby. Nie wiem jak i przy czyjej pomocy ojcu udało się nas wykupić i zostałyśmy zwolnione. Ojciec w chwili, gdy wypędzano nas z domów był w pracy, więc go nie

zatrzymano.

No i życie okupacyjne toczyło się nadal. Było jednak znacznie trudniej i jakoś straszniej. Były to najtrudniejsze i najniebezpieczniejsze miesiące okupacji.

Od października 1944 r. zaczęły przyjeżdżać do Kielc transporty z mieszkańcami Warszawy wywożonymi ze stolicy po upadku Powstania. Oczywiście i tymi ludźmi zajmowałyśmy się. Byli dla nas bohaterami i męczennikami. U mnie w domu także mieszkała pięcioosobowa rodzina z Warszawy.

Wojna w Kielcach skończyła się w styczniu 1945 roku. Po krótkim oblężeniu weszły do miasta jednostki Armii Czerwonej. Zaczęto organizować życie. Ale spokoju ani powszechnego entuzjazmu nie było. Powszechnie panował nastrój niepewności i oczekiwania. Otwarto szkoły. Zgłosiłam się do swojego już oficjalnie otwartego gimnazjum im. Bł. Kingi, w czerwcu 1945 r. skończyłam gimnazjum i na początku lipca zdałam egzamin do liceum do którego zostałam przyjęta.

Wcześniej w lutym, czy może na początku marca 1945 r. mego ojca wraz z grupą kolejarzy przeniesiono służbowo z Kielc do Sędziszowa koło Jędrzejowa, by zorganizowali pracę w znajdującej się tam parowozowni. Sędziszów - śródpolny, swojski, ni to wieś, ni to miasteczko. Prawie raj na ziemi, bo i rzeka i lasy i pola. Ale szkoły średniej tam nie było. Uczyłam się więc i mieszkałam z matką w Kielcach.

Jednak w jesieni, po dwu miesiącach nauki w pierwszej klasie liceum rodzice zdecydowali, że dalej będę uczyła się w Lublinie i mieszkała u Dziadków - rodziców mojej Matki. Rodzice zlikwidowali mieszkanie w Kielcach, a matka przeniosła się do ojca do Sędziszowa. No i wyjechałam do Lublina, choć zupełnie nie miałam na to ochoty. Chciałam zostać w Kielcach. Ale od listopada 1945 r. zostałam uczennicą pierwszej klasy III Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Unii Lubelskiej w Lublinie. Tu w czerwcu 1947r. po zdaniu egzaminu, uzyskałam Świadectwo Dojrzałości Liceum Ogólnokształcącego, w lipcu zdałam egzamin na studia i zostałam przyjęta na pierwszy rok Wydziału Lekarskiego U.M.C.S. przemianowanego wkrótce na Akademię Medyczną. W 1952r. uzyskałam absolutorium i dyplom lekarza. W b.r. 21 czerwca ma się odbyć z racji 50-lecia tego faktu zjazd koleżenki w Lublinie.

Zaczęłam pracować zawodowo, szpital z dyżurami, przychodnia, pogotowie, no i stałe uczenie się. W końcu egzaminy specjalizacyjne i dalsze douczanie się.

W Lublinie pracowałam do 1966 roku, a do maja 1966 r. w Pruszkowie koło Warszawy, a zamieszkałam w Podkowie Leśnej. Pracowałam do końca czerwca 1991 roku, od lipca 1991 r. jestem na emeryturze. Potem pracowałam na 1/2 etatu, ale od 1997 r. nie pracuję zawodowo.

Po wojnie nie ujawniałam mego okupacyjnego życiorysu. Nie uważałam, że to konieczne. Do ZBOWIDu nie należałam. Nie miałam wewnętrznego przekonania do tej organizacji. Poza tym po wojnie znalazłam się w innym mieście, nowym środowisku, gdzie nikt mnie nie znał i niczego o mnie nie wiedział, a które to środowisko nie było mi zbyt przyjazne (byłam "nowa i inna"). Może dlatego, że nie do końca akceptowałam środowisko, a może dlatego nie akceptowałam w pełni bo było niezbyt przyjazne.

Początkowo utrzymywałam kontakty ze środowiskiem kieleckim, ale po upływie pewnego czasu w sposób naturalny ten kontakt stawał się coraz bardziej wątki, aż w końcu zanikł.

Tak więc moja górna młodość wraz z atmosferą braterstwa i służby została za mną, choć nigdy o niej nie zapomniałam.

Z powodu mego okupacyjnego życiorysu represjonowana nie byłam. Ale żyło mi się trudno. Bo takie były warunki, a ja byłam przecież już ukształtowanym człowiekiem. Wiele spraw dziejących się wokół mnie wywoływało mój wewnętrzny sprzeciw, a co najmniej o ogromnie dziwiło. Nie umiałam w pełni dostosować się do istniejącej rzeczywistości, wejść w układy, układziki, a jeżeli czasem szłam na takie czy inne kompromisy to zwykle wadziłam się z tego powodu sama ze sobą. A stan ten nie ułatwiał mi życia. Środowisko w jakim żyłam po wojnie było takie, jakie było, wyboru nie miałam. Trzeba było żyć i pracować. I ja i moje otoczenie było młode. Ludzie kochali się, zakładali rodziny, przychodziły na świat dzieci. Ale to wszystko było jakoś nie tak. Nie tego czego się spodziewało, czego się chciało i co by dawało prawdziwą, rzetelną, głęboką radość. Pamiętam że przez wiele lat miałam takie wewnętrzne poczucie jakbym była ptakiem siedzącym na gałęzi wysokiego drzewa gotowym do odlotu. Ale dokąd ?

Tak więc mimo, że zawód traktowałam poważnie i bardzo swoją pracę lubiłam (sprawiały mi autentyczną radość moje małe i większe sukcesiki i sukcesy diagnostyczne i terapeutyczne, a bolały porażki, bólów nie brakowało) kariery nie zrobiłam, ani naukowej, ani zawodowej w sensie zajmowania jakiegoś znaczącego stanowiska ani finansowej. No, ale było jak było.

W marcu czy kwietniu 1989 roku przeczytałam w "Tygodniku Powsze -

11/10

chnym " zawiadomienie o mającej się odbyć 20 maja br. uroczystości i Mszy św. i odsłonięcia w kościele św. Trójcy w Kielcach tablicy dla uczczenia pamięci profesorów Tajnych Gimnazjów i Liceów Kieleckich z lat II wojny światowej. Pojechałam. Tam po Mszy św. odbyło się spotkanie koleżeńskie w pałacu Zielińskiego. Poszłam na nie, z trudem (upłynęło przecież prawie 50 lat), ale jednak rozpoznałyśmy się z koleżankami. I to właśnie dzięki koleżankom tam i wtedy spotkanym znalazłam się w ŚZŻAK . Wprowadziły mnie Jadwiga Olszewska i Krystyna Romańska (Skorupska). Od 1992 r. jestem członkiem "Jodły" . Po uzyskaniu statusu członka zaczęłam pracować w sekcji medycznej związku. Pracowałam przez kilka lat, ale musiałam się z tej pracy wycofać. Początkowo ze względu na konieczność całodobowej opieki nad zniedołężniałą matką (ojciec nie żyje od 1982 r.), a potem ze względu na własne zdrowie. W końcu stycznia 2001 roku przbyłam udar mózgu. A choć ten incydent przeżyłam - pozostały konkretne, mniej lub bardziej utrudniające mi życie ograniczenia.

Podkrowe desine maj 2002 rok

Przeżyła Jaroszek - Jędrzejczyk

Zalęcam
odmowa

odbitki

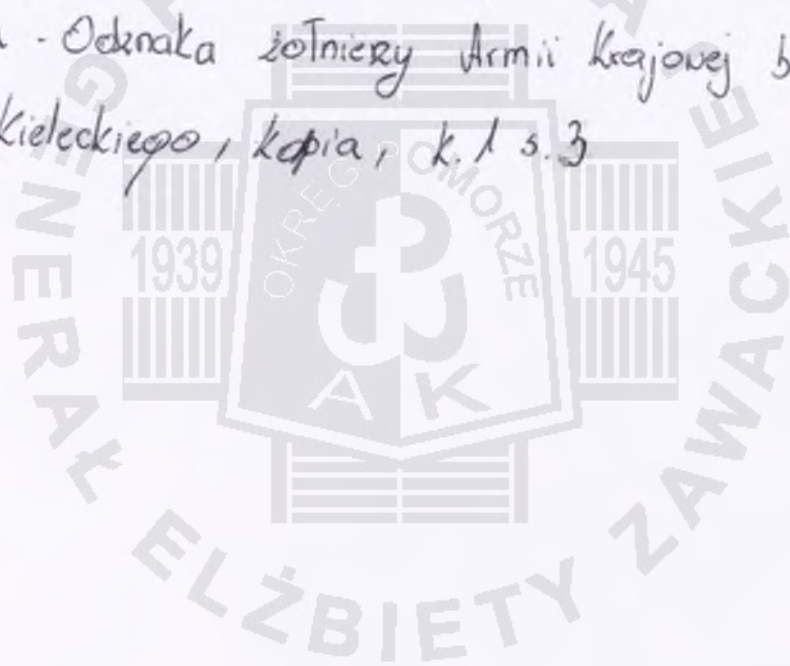
zapę

i

legi dykacji

I 12 Dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora

- legitymacja odnawienia Krzyżem Armii Krajowej, Wa-wa 1994r., k. 1 s. 1.
- legitymacja veterana walk o niepodległość, Wa-wa 1995r., oraz legitymacja żołnierza AK "Akcja burza", k. 1 s. 2
- Legitymacja - Odznaka żołnierzy Armii Krajowej b. Okręgu Radomsko - Kieleckiego, kopia, k. 1 s. 3



I/211

RZECZPOSPOLITA POLSKA

POSTANOWIENIEM

z dnia... 8 czerwca 1994r.

LEGITYMACJA

Pani JAROSZEK-GLISZCZYŃSKA

Grażyna c. Bolesława

odznaczony/a został/a

Nr.16-94-169

**KRZYŻEM
ARMII KRAJOWEJ**

Warszawa

dnia... 8 czerwca 1994r.

PREZYDENT
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ





KIEROWNIK
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH
SEKRETARZ STANU

przyznaje

Panu (Pani) Grażynie
JAROSZEK-GLISZCZYŃSKIEJ

ODZNAKĘ
WETERANA WALK
O NIEPODLEGŁOŚĆ

PIĘCZĄ
21.02.



[Handwritten signature]
SEKRETARZ STANU

Warszawa, dnia 1995 r.



RZECZPOSPOLITA POLSKA



LEGITYMACJA

ŻOŁNIERZA AK
AKCJA BURZA
Nr. 1-22-5788

KOMITET ORGANIZACYJNY 50-lecia
POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

I
•AKCJI BURZA•
POD PROTEKTORATEM
PREZYDENTA
RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ

przyznaje:

Grażynie
JAROSZEK-GLISZCZYŃSKIEJ

ODZNAKĘ PAMIĄTKOWĄ
•AKCJI BURZA•

[Handwritten signature]
pieczęć

[Handwritten signature]
Sekretarz Stanu

I/2/3

ODZNAKA
żołnierzy Armii Krajowej
b. Okręgu Radomsko-Kieleckiego
w skład którego wchodziły:

SZTAB OKRĘGU
Inspektoraty:

Radomski, Koziernicki, Sandomierski
Kielecki, Częstochowski.

Obwody:

Radomski, Koziernicki, Iłżecki, Konecki,
Sandomierski, Opatowski, Kielecki, Buskowski,
Jędrzejowski, Włoszczowski, Częstochowski,
Radomszczański.

Oddziały partyzanckie w:

obwodach i inspektoratach oraz
„Zgrupowanie Partyzanckie Ponury”

Korpus Kielecki:

2 Dywizja Piechoty Legionów z pułkami:
2 ppleg., 3 ppleg., 4 ppleg.

7 Dywizja Piechoty z pułkami:
27 pp. i 74 pp.
72 pp.

LEGITYMACJA Nr ..236/92

Imię ..Grażyna

Nazwisko ..Jaroszek Gliszczyńska

Pseudonim .."Aldona"

Przydział organizacyjny w latach wojny
Szare Szeregi
Obwód Kielce

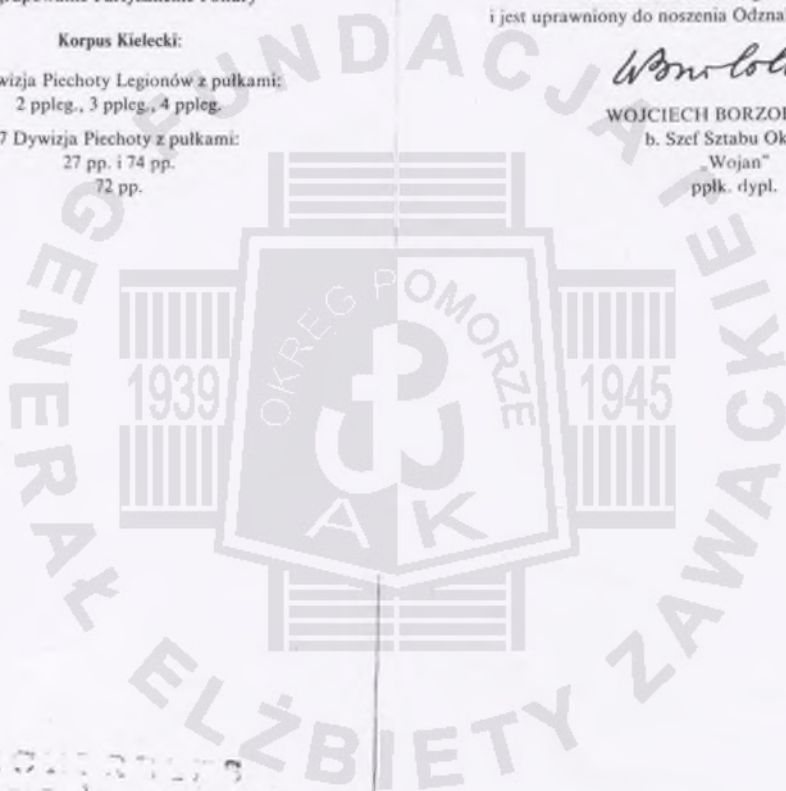
Wyżej wymieniony był żołnierzem Armii
Krajowej na terenie Okręgu
Radomsko-Kieleckiego
i jest uprawniony do noszenia Odznaki Okręgu

Woniolusty

WOJCIECH BORZOBOHATY

b. Szef Sztabu Okręgu

„Wojan”
ppłk. dypl.



Wojciech Borzobohaty
Szef Sztabu Okręgu
ppłk. dypl. Mieczysław Wołski



T. 3596 WSK

52.52. AK
Obw. Kielce

JAROSZEK - Głiszczyńska Halina
zd. Jaroszek
ps. "Włdona"

VI

Fotografie





ZDOŁBUNÓW 1933 rok
Wacława i Bolesław Jaroszkowie z córką Grażyną.

Freya
Faschek

Freya - Kallne
Faschek

Freya Kallne
Faschek

Freya
Faschek



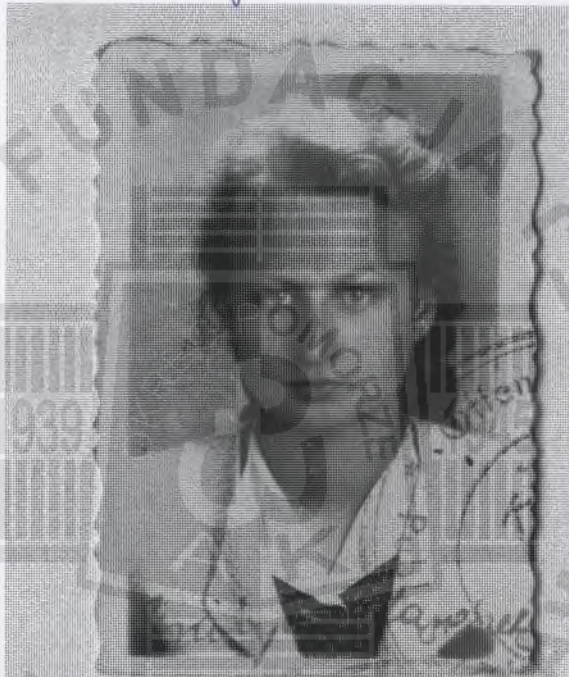
1941 rok -
Podstawowa.

Lublin 1947 rok -
matura.

Lublin 1952 rok -
dyplom lekarza.

Podkowa
em

Grzywa - Katarzyna
Jarobek



Kielce 1941 rok-
szkoła podstawowa.

Przeigła - Koltne
Jaschek



Lublin 1947rok -
matura.

V/2

Juliana Kalska
Pasobci - Goshaywka



Podkowa Leśna 2000 -
emerytura

Grzywa Beata
Herbich



Lublin 1952 rok -
dyplom lekarza.



KIELCE 1942 rok "komplet"

od lewej: Basia Pietrzakówna, Grażyna Jaroszkówna, Jurek Bokszczanin.



Harcerki-od lewej:Basia Pietrzakówna,Grażyna Jaroszkówna,Kryśia Skorupska(w białej bluzce),Wiśka Kluźniakówna.

JAROSZEK - GLISZCZYŃSKA Halina

